

Na szczytach świata.

Część 2.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty, realizującą autorski projekt „200 szczytów świata”.



Wspinaczka „na żywcą” w lodospadach Słowackiego Raju, fot. Stanisław Proszak.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jakie kraje, które do tej pory Pani przemierzyła, najbardziej Pani zapamiętała?

Anna Borecka:

Te, w których nieźle dostałam w kość, a więc Iran i Chiny. Pierwszego dnia w Teheranie zostałam okradziona przez taksówkarza. Potem trafiłam na demonstracje uliczne. Musiałam

przejsć wśród skandującego tłumu i uzbrojonego kordonu policji, żeby dostać się do akademika, w którym mieszkałam. Jednak bardziej dało mi się we znaki codzienne przemierzanie wielomilionowej stolicy, żeby wyrobić trzy wizy do krajów poradzieckich. W pewnym momencie byłam w sytuacji patowej, bo utknęłam tam na dobre. Zaczęłam więc załatwiać pozwolenia od ostatniego w kolejności państwa, czyli Tadżykistanu. A po wizę do sąsiedniego Turkmenistanu musiałam jechać aż pięćset kilometrów dalej, zmieniając wcześniej zaplanowaną trasę. W międzyczasie weszłam na **Demawand** (5610 m), najwyższy szczyt Iranu, więc moje wysiłki zostały nagrodzone.

W Zachodnich Chinach był stan wojenny, na ulicach mnóstwo uzbrojonej policji i wojska oraz czystki w domach Ujgurów. A dogadać się tam nie można „za Chiny Ludowe”. Była też blokada łączności ze światem, więc wybierałam niewielkie kwoty z bankomatu, żeby córce dać znać, że żyję.



Na Demawand (5610 m n.p.m.) z grupą Irańczyków, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Czy zdarzyły się Pani naprawdę niebezpieczne sytuacje?

Zawsze się jakieś zdarzają. W Tadżykistanie zabłądziłam w górach Pamiru i weszłam na teren bazy wojskowej, za co oficerowie chcieli mnie aresztować i zamknąć na pół roku w więzieniu. Szybko wyjęłam mapę i pokazałam skąd przyjechałam autostopem, żeby wspinać się sama w górach. Nigdy wcześniej tak dobrze nie mówiłam po rosyjsku. (Śmiech) Tym ich zaskoczyłam, więc nawet mnie nakarmili i odwieźli do najbliższej wioski.

Na Karakorum Highway zatrzymali mnie chińscy policjanci i zabronili dalej podróżować autostopem. A gdy się im sprzeciwiłam, to jeden mnie szarpał i popychał, a drugi podniósł do góry karabin. Uspokoiliam się, pokazałam wizę w paszporcie i... pojechałam dalej autostopem.

Jadąc „na stopa” przez kazachski step tylko cudem uniknęłam gwałtu, ale opowiadać o tym nie będę. Kto zechce, ten przeczyta w drugim tomie „Alpinistki na autostopie”. W Kosowie byłam w górach sama, gdy ktoś całkiem blisko strzelał z kałasznikowa. Słyszałam głosy kilku mężczyzn, ale ich nie widziałam, bo na szczęście była mgła. Nagle jeden z nich tak przeraźliwie zaczął krzyczeć, że mocno skuliłam się i po cichutku, biegnąc koleinami, opuściłam zagrożony teren.

W Alpach, Pamirze i Karakorum skakałam sama przez szczeliny lodowcowe na wysokości 4000-6000 metrów i parę razy do nich wpadłam, ale na szczęście niezbyt głęboko. Wbiłam więc czekan przed siebie, wyciągnęłam się na nim i odczołgałam, żeby wreszcie stanąć na nogach. W różnych górach miałam kilka wypadków i kontuzji z poważnym uszkodzeniem kolan, naderwaniem mięśni i więzadeł w obu nogach. A na Bałkanach, gdy zwichnęłam prawą dłoń i momentalnie spuchła mi jak bania, to martwiłam się, jak będę łapać „stopa”. Chociaż najpierw musiałam wrócić sama z gór w czasie burzy, zrobić ręczne pranie, bo wszystko było ubłocone, i spakować plecak. To była

męka, każdy ruch sprawiał mi ból, ale przecież sama wybrałam samotny styl podróżowania. Jednak nigdy nie przerwałam wyjazdu, a kontuzje leczyłam dopiero po powrocie do domu, nawet przez pół roku.

Poprzedniego lata, na Cabo Verde, wspinałam się w skale i wyrwałam z niej wielki kamień. On uderzył mnie w nogę, na szczęście nie odpadłam od ściany, ale do dzisiaj mam wgłębienie w udzie. A potem potrącił mnie taksówkarz, bo nie zauważył mnie, gdy cofał auto. Bardzo bolał mnie kręgosłup, ale musiałam założyć plecak i iść dalej, bo przecież nie mogłam się bić ze zbiegowiskiem Afrykańczyków. Jednak byłam w takich nerwach, że kierowca dostał ode mnie parę razy w łeb. To tylko kilka drastycznych sytuacji, jakie przeżyłam, ale zdecydowanie wolę pamiętać te pozytywne.



Autostopem na Karakorum Highway, fot. Anna Borecka.

Czy idąc samotnie w góry zdarzyły się pani jakieś zaskakujące spotkania, nieprzewidywalne sytuacje, z którymi musiała się Pani zmierzyć?

O niektórych z nich już opowiedziałam, więc dla odmiany podam zabawny epizod. W Andorze zeszłam z gór wieczorem, chociaż rozsądniej byłoby zabiwakować gdzieś w lesie. Długo nie mogłam złapać stopa. W końcu zatrzymał się jakiś brodac, ale mówił tylko po hiszpańsku. Skleciłam jakieś zdanie, że zdobywam różne szczyty w Europie, a on uśmiechnął się i zaprosił mnie do auta. I

tym sposobem trafiłam do Asturii, na północy Hiszpanii, w góry Picos de Europa, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam. Cóż było robić, poszłam w góry i tam. Okazało się, że ten brodacz, wyglądający jak święty Mikołaj, był emerytem i mieszkał w kamperze. Od czterech lat żył w drodze, zwiedzał kraje Europy Zachodniej, chociaż nie znał języków obcych. Do domu wracał raz na trzy miesiące, żeby zrobić badania, bo od lat poważnie chorował. A potem znów ruszał w świat, mówiąc że te podróże - to dla niego najlepsze lekarstwo, a widoki z okna samochodu - to najpiękniejsza telewizja. Nie chciał ujawniać swojej tożsamości, więc nazwałam go Incognito.

Hm, jeśli chodzi o zaskakujące spotkanie, to przypomniała mi się pewna historia. Na Islandii poszłam sama na najwyższy szczyt **Hvannadalshnúkur** (2110 m). Góra jest niewielka, ale znajduje się na zdradliwym, dużym lodowcu Vatnajökull. Tam pogoda zmienia się co chwilę i często panują arktyczne warunki. Szczeliny przykryte są warstwą śniegu i łatwo zgubić się w zadymce. Nikt więc nie chodzi tam sam, bez liny i bez GPS-u... poza mną.

Za moim drugim podejściem w stronę szczytu nagle zaczęło wiać lodowym powietrzem, kryształki śniegu siekły mnie po twarzy, a potem pojawiła się gęsta mgła, widoczność spadła do zera i zrobiło się czarne niebo. Przestraszyłam się, że mam problemy ze wzrokiem, ale sytuacja ciemności w ciągu dnia powtórzyła się.

Nic nie widziałam, nawet śladów butów na śniegu, które wcześniej mnie prowadziły. Nagle usłyszałam dziwny męski głos, przytłumiony i matowy, niczym wydobywający się spod ziemi: „Zawracaj!”. Stałam jak wryta, nasłuchując. Zrobiłam dwa kroki i znów usłyszałam: „Zawracaj!”. Zatrzymałam się, zdjęłam okulary, nikogo wokół nie było. Jednak nie musiałam się rozglądać, bo czułam, że ten głos nie pochodzi z zewnątrz, ani z mojego wnętrza. On był takim głosem z za grobu. Siódmym zmysłem, który nieraz już mnie ostrzegł, zobaczyłam mężczyznę około czterdziestki, z szarymi, kręconymi, ale krótkimi włosami. Był niewysoki, średniej budowy ciała i miał na sobie gruby, szary sweter z wełny, z długim jasnym włosiem. Do dzisiaj pamiętam tę postać i ten głos, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Zastanowiło mnie to, zaczęłam się kręcić w miejscu, szukając śladów moich butów na śniegu, żeby zawrócić. Jednak zmiótł je wiatr. Na szczęście po kilkunastu minutach trochę się przejaśniło, zobaczyłam szczelinę przykrytą śniegiem, w miejscu gdzie chciałam pójść. Moja droga powinna iść prosto, ale posłuchałam głosu intuicji i zawróciłam.



Jökulsárlón - atrakcja turystyczna na autostopie w Islandii, fot. Anna Borecka.

Okrążyłam autostopem całą Islandię, zwiedzając kilka pięknych miejsc i po tygodniu wróciłam na **Hvannadalshnúkur**. Na szczyt weszłam więc dopiero za trzecim razem, ale i wówczas miałam dziwne zdarzenie. Było mgliście, dosyć ciepło, więc warunki były dużo lepsze. Zatrzymałam się na lodowcu, na łyk herbaty z termosu i usłyszałam za sobą wyraźny, tubalny głos: „Don't go there!” (Nie idź tam!). Popatrzyłam zdziwiona wokół, lecz nikogo nie dojrzałam. Po chwili ten sam głos powtórzył się z przodu, a tam też nikogo nie było. Poza tym, nie mogło być, bo to był głos mojego przewodnika z Araratu, z 2008 roku. Głos Kurda, mówiącego słabo po angielsku i bez akcentu, w rytmie „ta ta ta”. „Don't go there!”. Trochę mnie to zdziwiło, a trochę

rozśmieszyło. Tym razem nie posłuchałam, poszłam dalej, przeskoczyłam przez kilka szczelin, a przed samą kopułą szczytową wpadłam prawą nogą do szczeliny aż po samo udo. Szybko wyciągnęłam się na czekanie i odetchnęłam z ulgą. W nagrodę za waleczność zrobiłam kilka zdjęć z czubka góry, bo właśnie na chwilę przetały się mgły.

Reasumując, pierwszy głos ostrzegawczy mógł pochodzić z tak zwanej pamięci zbiorowej. Tak stwierdził mój znajomy już w Polsce, przygotowując mnie tym o gęsią skórę. Natomiast nie wiem, jakim cudem przemówił do mnie kurdyjski przewodnik, który chyba nawet nie wie, gdzie jest Islandia. Chłopak miał tylko dwie klasy szkoły podstawowej. Najpierw pasł owce na stokach Araratu, a gdy skończył dwadzieścia lat, to pasał tam turystów i alpinistów. (Śmiech) Tak, człowiek nigdy nie jest sam, nawet wtedy, gdy jest o tym przekonany. Czasami zdarzają mu się w górach bliskie spotkania trzeciego, a nawet czwartego stopnia. (Uśmiech)

Napisała pani m.in. książkę „Alpinistka na autostopie”. Czy podróżowanie autostopem, to większa szansa na poznanie ludzi, ich codziennego życia, zwyczajów, marzeń?

Tak, oczywiście, bo obcy ludzie zapraszają mnie do swoich domów. Rozmawiamy o ich poglądach na świat, codziennych troskach, ale rzadko mówią o swoich wielkich marzeniach. Oni

zazwyczaj żyją tu i teraz. Ja mam okazję poznać ich codzienność, a oni cieszą się z odwiedzin niespodziewanego gościa. Piszę o tym w obu tomach „Alpinistki na autostopie”, przedstawiając ludzi z Europy Wschodniej i połowy Azji. Dzięki licznym rozmowom zdobywam wiedzę o różnych krajach i ich mieszkańcach. Mam też możliwość dotarcia do miejsc, których nie znają turyści, np. mogłam przenocować w kirgiskiej jurcie i poznać codzienne życie w górach, wielodzietnej muzułmańskiej rodziny.



Powrót na Pamir Highway po noclegu u gościnnych Kirgizów, fot. Anna Borecka.

A jeśli chodzi o autostop, to mam okazję obserwować różne zachowania kierowców wobec kobiety-autostopowiczki. Polacy, Czesi i Słowacy lubią ponarzekać na swój los, ale rodacy poczęstują gołąbkami lub bigosem ze słoika. Szwajcarom wystarczy informacja skąd jestem. Islandczycy zgarną mnie z drogi w najgorszą zawieruchę. Finowie mają gest - z trenerem golfa jechałam sportowym BMW o wartości 200 000 euro. Z sympatycznym fińskim małżeństwem podróżowałam przez dwa dni aż do ich domu, gdzie zaprosili mnie na wykwintną kolację i nocleg. Mieszkańcy Bałkanów widzą w Polakach kamratów, więc z każdym kierowcą trzeba wypić w barze przynajmniej jedną filiżankę kawy. Austriacy traktują mnie jak powietrze, ale Austriaczki zawsze zawiozą mnie do centrum handlowego, chociaż tam nie jest mi po drodze. Włosi i Hiszpanie nie zabierają autostopowiczów, ale jak któryś się zatrzyma, to już oferuje długą trasę. Podróżując z Francuzem, Turkiem lub Chińczykiem mogę czasami sięść za kierownicą osobówki lub pick-upa. A na Pamir Highway poprowadziłam ciężarówkę pewnego Kirgiza. Wtedy wjechałam na **Ak Baital** (4655 m), najwyższą przełęcz na tej drodze. Z mieszkańcami Azorów zwiedziłam na stopa wyspę Pico, a na Cabo Verde dotarłam autostopem do zamieszkałej kaldery, chociaż tam ponoć nikt nie wozi ludzi za darmo.

Mówi Pani, że na całym świecie żyją ludzie tacy sami jak my. Pod jakim względem są tacy sami?

Dotychczas odwiedziłam 63 państwa na pięciu kontynentach i spotkałam ludzi z wielu innych krajów. Śmiem więc twierdzić, że wszędzie ludzie są do nas podobni, bo mają zbliżone problemy i marzenia, a różnią się miejscem urodzenia. To miejsce bardzo determinuje ich życie, lecz w gruncie rzeczy, oni są tacy sami jak my. Człowiek jest z natury dobry, bo taki przychodzi na świat, czysty, niewinny i ufny. Niestety, później się socjalizuje. Jednak każdy z nas dąży do tego samego, żeby zapewnić byt sobie i rodzinie, żeby żyło się bezpieczniej i wygodniej, żeby radzić sobie z problemami, wyznaczać kolejne cele i w miarę możliwości realizować swoje marzenia. Przekonałam się o tym na autostopie, w podgórskich wioskach, w różnych miastach. Niektórzy ludzie byli początkowo nieufni wobec mnie albo coś kombinowali. Jednak jak zaczęłam z nimi rozmawiać i przekonali się, że jestem normalnym człowiekiem, to stawali się życzliwi i pomocni, albo zostawiali mnie w spokoju. To daje mi wiarę w człowieka. Każdy z nas ma jakieś zalety i wady, i tworzy różne relacje z poznanymi ludźmi, ale w większości wszyscy jesteśmy normalnymi, pozytywnymi osobami. A ci, emanujący negatywną energią, zazwyczaj mają problemy, z którymi sami sobie nie radzą. Dlatego trzeba im pomóc, jeśli czujemy się na siłach, albo omijać ich długim łukiem. W czasie podróży programuję się pozytywnie, więc zazwyczaj spotykam ludzi, z którymi coś mnie łączy, chociażby zwyczajna, serdeczna rozmowa.



Kolacja w tadżyckiej wiosce, ale u Kirgizów, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Powiedziała Pani kiedyś, że skacząc przez szczeliny w Pamirze poznała Pani swoją rodzinę w Kanadzie? Jak do tego doszło?

To oczywiście taki skrót myślowy, ale podoba mi się wizja wielkiego skoku, przez dwa kontynenty i jeden ocean. A historia jest niezwykła. W 2009 roku chciałam wejść na **Pik Avicenny** (7134 m) w Pamirze. Na lodowcu, około 5000 m n.p.m., trafiłam na takie szczeliny, których nie mogłam przeskoczyć. Jednak, sporo ryzykując, pokonałam te zięjące czeluści i dotarłam do

następnego obozu, za rosyjskim alpinistą. Niestety, z powodu trzydniowego huraganu i odczuwalnej temperatury, około -50 stopni Celsjusza, zrezygnowałam z ataku szczytowego. Kilku rosyjskim śmiałkom i tak nie udało się zdobyć siedmiotysięcznika, a jednemu z nich amputowano później kilka palców u nóg. Wycofując się z **Piku Rozdzielenia** (6148 m) pomagałam spakować plecak Polakowi, który miał poodmrażane palce u rąk. Potem zaprosił mnie na „Złot Łojantów z lat 70-tych”. W schronisku „Morskie Oko” poznałam żywe legendy polskiego taternictwa, jak o sobie mówili. Ze zdziwieniem zauważyłam, że są to dziarscy ludzie z poczuciem humoru, wywijający na parkiecie w tanecznym rytmie. Tam też poznałam innego „łojanta”, który zaprosił mnie do Kanady w 2014 roku. Wtedy byłam poważnie chora, więc to zaproszenie potraktowałam jak zbawienie. Żeby wyjść z choróbki, musiałam znaleźć konkretny cel, a w Kanadzie nigdy wcześniej nie byłam. Napisałam więc wiadomość na fejsbuku do moich trzech kuzynów, urodzonych w kraju klonowego liścia, że będę w ich okolicy, więc mogę wpaść na kawę. Pierwszy odpisał mi Joe, że w takim razie zaprasza mnie na wesele swojego syna. Właśnie w tym czasie, Adam weźmie ślub z Amandą, piękną Hinduską. Wtedy będę miała okazję poznać całą rodzinę. No to poleciałam! Umówiłam się też na spotkanie ze znajomymi Polakami z Ottawy, których poznałam w drodze na **Aconcaguę** (6960 m) w 2003 r. Reasumując, stojąc przed wielką szczeliną w Pamirze, nie wycofałam się, lecz przełamalam własny strach i przeskoczyłam

na drugą stronę. Dzięki temu poznałam polskich „łojantów”, którzy zaprowadzili mnie aż do rodziny w Kanadzie.



Na lodowcu w Pamirze, około 4500 m n.p.m., fot. Anna Borecka.

Czego nauczyły Panią góry i podróże?

Nauczyłam się pokory wobec gór, małych i dużych, oraz radzenia sobie w różnych sytuacjach. Nauczyłam się też szacunku dla ludzi odmiennych kulturowo, umiejętności rozmowy prawie z każdym człowiekiem, przełamywania własnych barier,

odkrywania piękna świata w drobnych rzeczach. Nazywam to prostotą chleba. Czasami uśmiech lub pozdrowienie przez nieznaną osobę, w obcym kraju, znaczy więcej, niż spotkanie z dużą grupą znajomych. Nauczyłam się, że świat jest piękny, a ludzie są dobrzy i bardzo do nas podobni. Dla mnie nie ma znaczenia, co ktoś posiada, lecz jakim jest człowiekiem. W czasie swoich wypraw poznaję ubogich, lecz pięknych ludzi, którzy mają w sobie radość i spokój. I tego staram się od nich nauczyć, chociaż z różnym skutkiem.

Czego oczekuje Pani od życia?

Zdrowia i szczęścia dla moich bliskich i znajomych. Chciałabym też, żeby nam wszystkim żyło się lepiej i ciekawiej. Dla siebie chcę realizacji projektu „200 Szczytów Świata” oraz posiadania „m&m’s-ów”. Nie chodzi tu o kolorowe czekoladki w kształcie kulek, ale o „man&money”. Potrzebuję życzliwych ludzi na całym świecie, którzy pomogą mi osiągnąć górskie cele. Ja w zamian będę o nich pisać w moich książkach i opowiadać na prezentacjach. Przydałoby się też zarobić trochę pieniędzy na moich pasjach, żeby nie tułać się autostopem po świecie i nie nocować w klaustrofobicznym namiocie, gdzieś na odludziu, lecz spać w łóżku, w jakimś hostelu, albo jeszcze lepiej w jeepie lub kamperze. Wtedy szybciej mogłabym realizować projekt i zabrać w podróż chętne osoby. Mój górski projekt to już nie pasja, lecz imperatyw! To cel zawodowy na najbliższe dziesięć lat albo do

wyczerpania zapasów państw i gór. A potem to już będę pisać same bestsellery. (Śmiech)

Pierwsza część wywiadu:

<https://www.cultureave.com/na-szczytach-swiata-czesc-1/>

Książki Anny Boreckiej:

„Alpinizm - życie na haju”, książka wydana nakładem autora, Wrocław 2006;

„Alpinistka na autostopie. Tom 1. Przez Karpaty na Ararat”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2015;

„Alpinistka na autostopie. Tom 2. Z Polski do Chin”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2016.

„Śpiew lodowca”, książka w przygotowaniu, planowane wydanie w 2019 roku.

Na szczytach świata.

Część 1.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty.



Plakat do autorskiego projektu, fot. i oprac. Anna Borecka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest Pani autorką projektu „200 szczytów świata”. Do tej pory zdobyła już pani 50 gór. Na czym polega ten projekt?

Anna Borecka:

Moim celem jest zdobycie najwyższych szczytów we wszystkich państwach na świecie. Jest to pionierski projekt, bo jeszcze nikt tego nie dokonał. Jednak tych gór jest trochę więcej, niż

dwieście. W Kolumbii są dwie wzniosłości o podobnej wysokości, Cristóbal Colón i Simón Bolívar (5775 m). Nie wiadomo, która z nich jest trochę wyższa, więc trzeba wejść na obie. Natomiast w niektórych państwach afrykańskich są nawet trzy wierzchołki do osiągnięcia, bo nie ma dokładnych pomiarów, a różne plemiona uważają, że to na ich terenie jest najwyższy pik. Ja zdobyłam 50 szczytów, w większości podróżując autostopem w pojedynkę. Projekt realizuję od pięciu lat i w tym czasie weszłam na 31 najwyższych gór. Jednak niektóre z nich zdobyłam zespołowo i w różnych latach. W sumie mam w swojej kolekcji **Ararat** (5137 m), **Demawand** (5610 m), **Elbrus** (5642 m), **Aconcaguę** (6960 m) i wszystkie najwyższe szczyty lub punkty w europejskich państwach, poza Białorusią. Ostatnio dołączyły do nich **Dżabal Tubkal** (4167 m) w Maroku czy **Pico do Fogo** (2829 m) na Cabo Verde. Z jednej strony to dużo, a z drugiej, to dopiero ćwierć projektu. Jednak jestem optymistką. Skoro pół roku temu porzuciłam pracę w pewnej firmie, żeby zawodowo realizować moje górskie marzenia, i zajmuję się teraz promocją projektu, to wkrótce pojawi się ktoś, kto do mnie dołączy. A razem możemy zrobić więcej. Dzięki moim publikacjom i prezentacjom mam już w Polsce i innych krajach zwolenników, którzy swoją popularną „Koronę Europy” przekształcają w „Koronę Globu”. Cieszy mnie to, że inspiruję innych do poznawania świata i realizacji marzeń na wysokim poziomie. (Śmiech)

Jednak większość entuzjastów mojej idei działa standardowo.

Zazwyczaj ludzie organizują szybkie i drogie wyjazdy na pojedyncze góry. Ja podróżuję tanio, ale wolno, bo autostopem, i przez kilka tygodni zdobywam kilka szczytów w sąsiadujących państwach. Kiedyś realizacja takiego globalnego projektu była pobożnym życzeniem, a teraz to kwestia doświadczenia, determinacji i finansów. Ja w dwóch pierwszych dziedzinach jestem dobra, ale w trzeciej, to muszę się jeszcze sporo nauczyć. Dotychczas wiele rzeczy robiłam wolontaryjnie lub za niewielką opłatą: prezentacje, artykuły, książki, a także pomoc innym. Teraz marzy mi się długa wyprawa na 3, 6 lub 12 miesięcy, żeby realizować trzeci etap projektu, czyli **32 Piki Ameryki**. Teoretycznie jestem już przygotowana, fizycznie chyba też, bo trenuję po półtorej godziny dziennie. Muszę tylko zrobić jakiś wielki skok, żeby znaleźć się po drugiej stronie Atlantyku. A potem, w miarę szybko i bezpiecznie zdobywać kolejne wulkany, wzgórza schowane w dżungli lub wspinać się na zacne sześćtysięczniki. Na niektóre z nich potrzebuję partnera wspinaczkowego, bo w pojedynkę to strach. Jestem więc na kolejnym życiowym zakręcie, ale oczami wyobraźni widzę tylko górską drogę w stronę szczytu. Ktoś więc musi mi pomóc, bo człowiek nigdy nie jest sam. Ktoś, kto znajdzie swoje miejsce w projekcie „200 Szczytów Świata”.



Zbieranie informacji przed wyprawą, fot. Michel Evers.

Jak się Pani przygotowuje do wypraw?

Przed wyprawą do Chin poświęciłam aż cztery miesiące na przygotowania, a w drodze spędziłam trzy miesiące. To jednak była moja druga samotna ekspedycja i jak na razie najdłuższa. Teraz mam taką zasadę, że każda rzecz musi być wielofunkcyjna, bo inaczej nie jedzie ze mną na wyprawę. Za karę zostaje w domu, siedzi w kącie i czeka do mojego powrotu. Wtedy ponownie weryfikuję, co powinnam wziąć, a co zostawić. Przed wyjazdem robię *casting*, ważę, mierzę i wybieram tę rzecz, która jest najlżejsza. Żeby zminimalizować ciężar bagażu odcinam nawet metki od ubrań. Zamiast butów trekkingowych zabieram

buty do biegania. Pakuję śpiwór o połowę cieńszy, ale i lżejszy, niż powinnam mieć. Podobnie jest ze sprzętem wspinaczkowym, biorę tylko niezbędne minimum: dwa karabinki, trzy taśmy, jedną śrubę lodową, raki i czekan. A innym razem zabieram tylko pozytywną afirmację i nadzieję na szczęśliwy powrót. I oczywiście złoszczę się na siebie, gdy czegoś brakuje mi w górach, gdy moknę na drodze, gdy marznę w namiocie. Pakuję się więc skrupulatnie, ale minimalistycznie, a i tak mam 20 kilogramów w plecaku. Informacje o trasie i górach czerpię z Internetu, czasem podpytuję też znajomych. Mapy otrzymuję z zaprzyjaźnionej „Księgarni Podróżnika”. Tanie bilety lotnicze, na wyspy-państwa, wyszukuje mi córka, Kalinka. A Kuba, mój zięć, pomaga mi w tematach fotograficznych. Znajomy artysta-podróżnik, czasem da jakąś dobrą radę. Okazjonalnie ktoś inny pomoże w załatwieniu jakiejś sprawy.

Jak Pani dba o zdrowie i urodę w podróży?

Zabieram ze sobą minirecznik i minikosmetyki, więc trudno mówić o dbaniu o urodę. Po zejściu z gór, moimi zdjęciami można by straszyć dzieci. Poważnie! W górach nie ma mowy o makijażu, ale przed powrotem do cywilizacji muszę chociaż „zrobić oko”, żeby nie przerazić dorosłych.

Do niedawna uważałam, że najlepszymi kosmetykami dla kobiety są górskie słońce i wiatr. Jednak ostatnio zmieniłam zdanie, bo to

prawdziwe SPA: solarium, sauna, lifting i masaż w jednym. Często są nawet bicze wodne lub krioterapia - opuszki u rąk, palce u nóg oraz stopy przymroziłam już kilka razy. Po peruwiańskim słońcu miałam poparzenie twarzy drugiego stopnia, więc skóra zeszła mi z niej całkowicie, ale stopniowo. Najpierw wyglądałam jak pomarańcza obierana po kawałku, lecz po jakimś czasie miałam buzię gładką, jak pupcia niemowlaka. Przed bliznami na twarzy uchronił mnie zwykły „Dermosan”, który dostałam od kolegi z grupy. Znów miałam szczęście, chociaż w górach można znaleźć lepsze kosmetyki, niż w teatralnej garderobie. No i charakteryzację ma się lepszą, niż niejeden aktor... w horrorze. Standard, to twarz spalona słońcem, spuchnięta i z lekkimi odmrożeniami, usta broczące krwią, a włosy zniszczone i potargane. Ja po dłuższym wyjeździe doprowadzam się do porządku przez kilka dni. Za to woda w górach jest cudna, rześka i zdrowa, byle nie ta z lodowca. W Europie najlepsza jest w Islandii i Szwecji, tak przynajmniej twierdzą Skandynawowie.



Wysokogórskie selfie - Pik Rozdzielenia (6148 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Kiedy odkryła Pani w sobie pasję wspinaczkową?

Wkrótce po urodzeniu dziecka. Poważnie! Ale zacznę od początku.

Moja przygoda z górami zaczęła się, gdy miałam 12 lat. W Beskidach zachwyciłam się pięknym widokiem i powiedziałam, że zawsze chcę chodzić po górach.

Na pierwsze taternickie ścieżki weszłam zaraz po zdaniu matury.

W trzecim tygodniu ciąży zdobyłam **Żabi Szczyt Wyżni** (2259 m), a niedługo potem córka otrzymała tatrzańskie imię. Wtedy jeździliśmy rodzinnie w Tatry, ja z mężem i z siostrą. Byliśmy stałymi bywalcami szałasów na Rusinowej Polanie, a tam rosło piękne drzewo kaliny. Tak narodził się pomysł imienia dla naszej Kalinki. A potem rodzinnie podnieśliśmy sobie poprzeczkę. W skałach Krystyna poznała swojego przyszłego męża, Roberta, więc wspinaliśmy się w dwóch zespołach, w kobiecym i męskim.

Gdy zostałam mamą przyszła do mnie w odwiedziny moja siostra i powiedziała, że zapisuje się na kurs wspinaczkowy. Ja na to, że też bym chciała, ale jestem już żoną i matką. Nie miałam jeszcze wtedy 22 lat, ale wydawało mi się, że na wiele rzeczy jest już za późno. Siostra stwierdziła jednak, że w życiu zawsze trzeba iść naprzód, więc poszłam.

Jesienią chodziłam na kurs teoretyczny, a wiosną miałyśmy razem kurs praktyczny w Górach Sokolich, koło Jeleniej Góry. Moja córka miała dziewięć miesięcy, gdy zaczęłam się wspinać. I to w oryginalny sposób, bo byłam zabalsamowana niczym mumia. Jako „Matka Polka z Karmiących” nie mogłam sobie poradzić z nadmiarem pokarmu, ale Krystyna znalazła na to sposób. Była wtedy pielęgniarką, więc codziennie przed wspinaczką bandażowała mi tułów. I tak zdałam egzamin. Od razu złapałam wspinaczkowego bakcyła. To była duża adrenalina i strach, ale też radość z pokonywania trudności technicznych.

Ważylaam wtedy 53 kilogramy i z ciekawością uczyłam się poruszania w pionie. W pasie miałam 62 cm, a alpinista szyjący mi uprząż wspinaczkową stwierdził, że takiej szczupłej klientki to jeszcze nie miał.

Pamięta Pani swoją pierwszą wyprawę?

Najpierw były wyjazdy wspinaczkowe w Sokoliki, potem w Tatry i Alpy, weekendowo lub wakacyjnie. Wspinaliśmy się związani liną, na drogach trójkowych lub czwórkowych. Na pierwszą wyprawę, w dodatku komercyjną i w dużej grupie, wyruszyłam w Kaukaz, w 2003 roku. W ciągu 26 dni wspięliśmy się po skale na szczyt mierzący około 3900 m, potem na **Uiłpatę** o wysokości 4644 m, jeszcze weszliśmy na **Czeget Karabaszi** (3753 m), **Kurmutau** (4045 m) i na oba wierzchołki **Elbrusu** (5642 i 5621m). Było trochę wspinaczki pod okiem zawodowego instruktora z Białorusi, a trochę trekkingu na niezbyt trudne, ale wysokie bałuchy.

Jednak w życiu zawsze miałam pod górkę. Na pięć dni przed tą wyprawą musiałam wezwać pogotowie. Przestałam widzieć, serce waliło mi jak młotem i bałam się, że zemdleję. Miałam jakiś wstrząs anafilaktyczny, bo antybiotyk, który brałam, ponoć był już rzadko zalecany przez lekarzy. Pogotowie chciało mnie zabrać do szpitala, a ja na to, że mam opłacony urlop i niedługo wyjeżdżam. Nie przyznałam się, że przez prawie miesiąc będę

dźwigać 30-kilogramowy bagaż na Kaukazie. Potem z trudem spakowałam się, a gdy zakładałam plecak, to przewróciłam się pod jego ciężarem. No, ale za trzecim razem udało się. Żeby zregenerować siły, w czasie dwóch dni podróży pociągiem, dużo spałam. W Północnej Osetii nocowaliśmy w starym zamczysku i tam miałam kolejny atak, na szczęście już słabszy. Wtedy pomógł mi jeden z uczestników wyjazdu, były komandos, który znał zasady pierwszej pomocy. Potem jeszcze zasłabłam w górach, na chwilę przed tym, jak dopadła nas lawina. Jednak nie przyznałam się, co się ze mną dzieje. Byłam zdziwiona reakcją niektórych osób, bo ta lawina nie była wcale taka duża. Ja bardziej bałam się, że padnę z powodu trefnego antybiotyku, niż niewielkich bryłek śnieżno-lodowych.

Potem były inne wyprawy grupowe: na **Aconcaguę** w Argentynie (6960 m), na **Pisco** (5752 m) w Peru. Był też wyjazd wspinaczkowy na siedem czterotysięczników w masywie Monte Rosa, we Włoszech. Dzięki temu zdobyłam doświadczenie, potrzebne do realizacji samotnych wypraw: przez Karpaty na Ararat, autostopem do Chin - ze wspinaczką powyżej 6000 metrów, autostopem w góry niemal całej Europy, a ostatnio nawet Afryki.



Na zachodnim wierzchołku Elbrusu (5642 m n.p.m.), fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Kiedyś wspinała się pani zespołowo, teraz samotnie. Czy coś się stało, że zdecydowała się Pani na tak odważne, samodzielne wyprawy?

W latach 2001 - 2006 wspinałam się w męskim gronie, ale w różnych, często przypadkowych zespołach. Weszłam wtedy na takie szczyty, jak **Triglav** (2863 m), **Mont Blanc** (4810 m), **Grossglockner** (3798 m) i wspomniane powyżej góry. Wspinałam się też w lodospadach Słowackiego Raju i w austriackim Maltatalu. To był nowy żywioł i fascynacja naturą: 20 stopni mrozu, zamarznęty wodospad i niebywała cisza. A ja,

uzbrojona w czekany i raki do wspinaczki lodowej oraz trochę szpeju, szłam znów w pionie. Najpierw wspinaliśmy się „na wędkę”, a potem w zespołach dwu- lub trzyosobowych. Chłopaki nie pozwalali mi prowadzić, bo oni mieli po 10-15 lat doświadczeń we wspinaczce lodowej, a ja byłam świeżynką. Parę razy poszłam więc na żywca, czyli sama i bez asekuracji, na niewielkich lodospadach. No więc raz czy dwa pozwolili mi prowadzić.

Latem 2006 roku nastąpił przełom, bo umówiłam się online, na wspinaczkę w Sokolikach, z kimś, kogo nie znałam. I wtedy przeszłam drogę wspinaczkową, na której zginął mój mąż - Darek. Oczywiście nic o tym nie powiedziałam nowemu koledze. Dowiedział się o mnie trochę więcej, gdy spotkaliśmy się jakieś pół roku później i wręczyłam mu swoją pierwszą książkę, pt. „Alpinizm - życie na haju”. W niej opisałam nie tylko zabawne historie ze wspinaczki zespołowej i zdobywania gór do 2006 roku, ale też wypadek Darka, moją traumę i antidotum na nią, jakim po latach okazały się znowu góry.

W roku 2007 postanowiłam, że nie będę się już wspinać. Jednak w 2008 roku zginął w górach mój znajomy, a jego żona poprosiła mnie o zajęcie się akcją ratowniczą i sprowadzeniem ciała do Polski. Wtedy przeżyłam kolejną traumę, a jak się z niej otrząsnęłam, to paradoksalnie, postanowiłam zorganizować samotną wyprawę. Pomyślałam wtedy, że przynajmniej nikt mi

na niej nie umrze.



Wspinaczka w lodospadach Słowackiego Raju, fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Mówi Pani o śmierci w górach. Gdy oglądałam film dokumentalny Pawła Wysoczańskiego „Jurek” o himalaiście Jerzym Kukuczce, targały mną różne emocje, od podziwu po żal. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego alpiniści zakładają rodziny, dlaczego narażają bliskich na życie w wiecznym strachu? Pani też straciła w górach męża w 1992 r. Nie umiem sobie wyobrazić traumy, którą

musiała Pani przejść, zostając sama z dwuletnią córeczką. A jednak... dalej Pani zdobywa szczyty.

Niestety, każdy alpinista naraża swoich bliskich na wielki stres i w tym jest egoistyczny, ja także. Jednak organizując samotne wyprawy, wybieram góry w granicach moich możliwości fizycznych, zdobytego doświadczenia i trudności wspinaczkowych. W moim projekcie „200 Szczytów Świata” jest wiele zwykłych, turystycznych gór, lecz te, na których trzeba zawalczyć, są po prostu bardziej zacne. Te mnie najbardziej cieszą.

A jeśli chodzi o tamtą sprawę, to... Darek miał 25 lat, gdy zginął, a ja miałam 24 lata. Córka miała wtedy dwa latka i przykrywała mnie tetrową pieluszką, gdy płakałam zwinięta w kłębek. Przez wiele lat czułam się winna, że pojechaliśmy na wspinaczkę w czwórkę, a wróciliśmy w trójkę, że dziecko straciło ojca, że ja żyję... Dzięki mojej mamie podźwignęłam się, bo kazała mi żyć dla córki. Dopiero po czternastu latach całkowicie wyszłam z traumy, właśnie wtedy, gdy przeszłam skalną drogę, na której zginął Darek. Napisałam o tym w książce, bo to było moje osobiste *katharsis*. Z córką do dzisiaj jestem silnie związana emocjonalnie. Czasem nawet zamieniamy się rolami, gdy ona mi trochę matkuje, jednak bardziej jesteśmy przyjaciółkami.

Co takiego jest w samotnych wyprawach, że tak Panią

pociągają?

Mam kilka powodów do organizacji samotnych wypraw, jak wolność, ciekawość świata i ludzi oraz notoryczny brak kasy. No, taka jest prawda. Z jednej strony jestem organizatorem, liderem i uczestnikiem, więc robię wszystko tak jak chcę, biorąc pod uwagę znikome fundusze. Z drugiej strony cieszę się z poznawania nowych krajów i ciekawych osób, oraz radzenia sobie na autostopie lub w górach. Odkryłam też nowe umiejętności, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Jest to błyskawiczne podejmowanie decyzji w sytuacji zagrożenia, w kontaktach z ludźmi i w czasie walki z żywiołami. Jest to totalna koncentracja podczas solowej wspinaczki w obcym terenie. Jest też trening mentalny przed i w czasie wyjazdu, oraz powtarzanie mantry, że spotykam tylko dobrych ludzi. Wreszcie jest to korzystanie z intuicji. Są też piękne spotkania z ludźmi o pokrewnych duszach, którzy od razu wydają mi się znajomi. Są bajeczne krajobrazy, jest czas na fotografię i na zadumę. To ta niezależność tak mnie pociąga. Poza tym, nikt nie brzęczy mi nad uchem, opowiadając o swoich problemach w czasie, kiedy powinien skoncentrować się na drodze lub pięknie otaczającego świata. Góry są też świetnym miejscem na oczyszczanie psychiki z przyziemnych spraw oraz organizmu - z miejskiego smogu. Tak, niektórym ludziom wyjazdy górskie powinny być zalecane na receptę. (Śmiech) A ja mogę te recepty wypisywać.

Bywają też niezwykle spotkania z przyrodą. Kiedyś rozbiłam namiot nad jeziorem, w górach Sierra Nevada w Hiszpanii, na wysokości 3000 metrów. I przyszła do mnie górська kozica. Wskoczyła na duży głaz i spojrzała w dół. Gotowałam wtedy zupełnie na kuchence turystycznej. Kozica mnie widziała, a jednak stała na kamieniu z wyciągniętą szyją, wdychając zapachy. Ostrożnie sięgnęłam po aparat fotograficzny, jednak ona była szybsza. A szkoda, bo miałyby piękny portret z odległości dwóch metrów, jako zdjęcie profilowe na fejsbuku. (Śmiech)



W górach Sierra Nevada do koleby przyszła górська kozica, fot. Anna Borecka.

Czy dla Pani góry to jest rodzaj uzależnienia?

W górach czuję się jak w domu. Wielu ludzi boi się dzikiej natury, żywiołów, trudów, ucieka od niewygód i niebezpiecznych sytuacji. A ja gdy idę w góry, to gęba śmieje mi się od ucha do ucha. To jest mój raj na Ziemi, bo góry są święte. Dopiero tam człowiek dostrzega, jaki jest mały, i że jest tylko częścią natury. Wtedy wszystko wydaje się bardziej proste. Łapie się dystans do wielu spraw i do samego siebie. Wówczas przychodzi mi na myśl, że nie muszę nic, więc mogę wszystko. Mogę wreszcie realizować swoje marzenia.

Bywają też chwile grozy, gdy proszę Boga, żeby dał mi choć jednego człowieka. To jest dziwne, ale czasem łatwiej jest wspinać się po oblodzonej grani, gdy ktoś jest obok. Nawet, gdy to jest ktoś obcy i działający samodzielnie. Chociaż miałam niezwykle przeżycie w drodze na Mont Blanc, w czasie śnieżnej zadymki. To było moje drugie spotkanie z tą górą, jednak przy okazji, bo moim głównym celem było wspięcie się na **Mont Blanc de Courmayer** (4748 m), najwyższy szczyt Włoch. Było dosyć stromo, zimno i ślisko, a ja byłam sama, w dodatku w minirakach - z sześcioma zamiast dziesięcioma zębami. Ręce przymarzały mi do czekana i kijka trekkingowego, ostrza raków słabo wchodziły w lód i zaczęłam się bać. Po chwili, ni stąd, ni zowąd, spłynęła na mnie dziwna cisza. Pomyślałam wtedy, że to nieważne, co się za chwilę stanie, bo ja już tutaj zostawiłam swój

ślad. Gdybym nawet spadła z tej grani, to nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież należę do tej góry tak samo, jak ona należy do mnie. To było wtedy takie oczywiste, że uspokoiłam się i ruszyłam dalej.

Czy góry uzależniają? Tego nie wiem. Dla mnie to jest zew. W pewnym momencie jakaś góra zaczyna za mną chodzić, więc i ja muszę do niej iść, żeby się przywitać, poznać bliżej i mieć własne zdanie na jej temat. Z resztą, myślę, że z wzajemnością. (Śmiech)
A poważnie mówiąc, to góry są niezłą szkołą życia, nauką o wolności w ekstremalnych warunkach.



Wschód słońca w drodze na Mont Blanc (4810 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Dalszy ciąg rozmowy z Anną Borecką, o przemierzonych krajach, spotkanych ludziach, przygodach w górach, życiowych celach i nauce, jaką otrzymuje się od gór – ukaże się w piątek 15 marca 2019 r.

O Annie Boreckiej:

<https://www.cultureave.com/sukces-2018-50-gora-sposrod-200-sz>

Sukces 2018: 50.
góra spośród „200
Szczytów Świata”



Na szczycie Grauspitz (2599 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Anna Borecka (*Wrocław*)

Poprzedni rok był dla mnie czasem siewu i dobrych zbiorów. Posiałam ziarna w czterech krajach, a plony zebrałam aż w pięćdziesięciu. A było to możliwe dzięki temu, że od dzieciństwa pielęgnowałam roślinę moich marzeń – pnącą się stopniowo po górach w Polsce, Europie, Azji, obu Amerykach i Afryce.

Właśnie w 2018 roku dotarłam na pięćdziesiąty wierzchołek w autorskim projekcie „200 Szczytów Świata”, którego celem jest zdobycie najwyższych szczytów we wszystkich państwach. Co prawda, nie znalazłam tam wieńca laurowego, ale był to dla mnie

wielki sukces oraz radość i spełnienie, chociaż okupione dużym wysiłkiem, zmęczeniem, a nieraz i kontuzją. Większość szczytów zdobyłam samotnie, podróżując autostopem w góry świata, dźwigając 20-kilogramowy plecak na trasie 10-40 kilometrów dziennie, śpiąc gdzieś na dziko w tunelowym namiocie, gotując kawę lub kuskus na małym palniku, w pojedynkę zdobywając góry małe i duże, trekkingowe lub wspinaczkowe.

Jednak w każdym kraju spotkałam osoby życzliwe i pomocne. Ktoś wskazał mi drogę, ktoś udzielił dobrej rady, jakaś rodzina zaprosiła mnie na poczęstunek lub nawet na nocleg. To dzięki nim zrodził się pomysł głoszenia idei o ludziach takich samych jak my. Zatem po powrocie do domu prowadziłam prezentacje górsko-podróżnicze, pisałam artykuły i książki, zajmowałam się sprawami rodzinnymi i zawodowymi. I czekałam na kolejny górski zew.

Sukces - 50 szczytów w projekcie!

Latem zdobyłam sama najwyższe szczyty Irlandii, Portugalii na Azorach oraz Cabo Verde w Afryce, które w moim projekcie zajmują kolejne pozycje 47, 48 i 49.

Wejście na najwyższy szczyt Zielonej Wyspy, **Carrantuohill (1038 m)**, kojarzę z prawdziwą sielanką. Na wstępie był to lot tanimi liniami do Cork - tylko z bagażem podręcznym - przejazd

jednym autostopem 100 kilometrów, z podwiezieniem mnie wprost na górski kemping, wejście na szczyt w deszczu i mgłę okrężną drogą oraz zejście „Diabelską Drabiną”, która nie jest wcale taka trudna, jak straszą w Internecie.

Pobyt na kempingu dostarczył mi niezapomnianych wrażeń. Tylko trzy namioty wśród soczystej zieleni i kwitnących drzew, a wokół pola tarasowe otoczone kamiennymi murkami i cudowną ciszą. Tym razem, w ramach testu ekwipunku minimalisty, postanowiłam przenocować nie w namiocie, lecz w płachcie biwakowej. Zwróciłam twarz w stronę gwiazd, spokojnie migoczących na niebie, a kilka sekund później zaatakowały mnie setki krwiożerczych komarów, które chciały mnie żywcem zjeść. Nie pomogły zatyczki w uszach, opaska na oczach i moskitiera na głowie, ani środek przeciw moskitom. Budziłam się co chwilę, walcząc z chmarą owadów. A gdy wreszcie przysnęłam zmęczona, to obudziło mnie beczenie owiec, które w nocy wtargnęły na kemping. Kolejno przeskakiwały przez kamienny murek i przechadzały się wśród namiotów, spokojnie skubiąc trawę i głośno becząc co chwilę. Na szczęście zabiwakowałam w pobliżu drewnianego domku, bo inaczej by mnie rozdeptały. Maleńkie jagnię bało się zbiec na dół, więc rozpaczliwie wzywało matkę na pomoc. Ona jednak była zbyt zajęta swoją kolacją. Moim jedynym marzeniem było doczekać wschodu słońca, żeby zerwać się na równe nogi i uciec z tej idylli. Jednak oczekiwanie świtu uatrakcyjniały mi przelotne opady deszczu. Test „bivi”

wypadł więc na piątkę: miałam zieloną płachtę biwakową na zielonej trawce, zieloną moskitierę z aureolą zielonych komarów wokół głowy oraz nadzieję w tym samym kolorze.



Żleb zwany Diabelską Drabiną - w drodze na Carrantuohill, fot. Anna Borecka.

W drodze na najwyższy szczyt Portugalii, który znajduje się na Azorach, miałam też wyjątkowe szczęście. Z lotniska jechałam autostopem z panią pracującą w biurze podróży. Byłam zachwycona wysokimi nadmorskimi krzewami, smaganymi przez wiatr, które pięły się po niewielkich pagórkach. Nieskazitelną zieleń przecinała serpentina asfaltu, po której pędziło tylko

„nasze” auto. W prześwicie drzew, kątem oka zobaczyłam wzburzony Atlantyk i zastygłe formy czarnej lawy. Nagle znalazłam się w zupełnie innym świecie – surowym, odludnym i pięknym.

W górach nie było już tak bajkowo, bo wiało 45 kilometrów na godzinę i strażnicy parku nie chcieli mnie przepuścić. W końcu wyruszyłam w stronę szczytu, we mgle, w deszczu i przy silnym wietrze. Na szczęście, na szlaku były słupki wskazujące drogę. Tuż przy kraterze skoczyłam nagle w bok, słysząc... ryczące motocykle. Szybko oprzytomniałam, że to wycie wiatru, więc kurczowo chwyciłam się słupka, żeby nie zwało mnie z krawędzi krateru. Tam już wiało około 100 kilometrów na godzinę. Wreszcie, trochę na oślep, trochę za znakami, wspinając się po skałach, dotarłam na szczyt **Pico (2351 m)**, który był zasnuty mgłami. A wiało tak, że głowę chciało urwać. Zgrabiającymi rękami wycierałam zachlapany obiektyw aparatu, żeby zrobić kilka zdjęć.

Na dół zeszłam już w nocy, przemoczona do suchej nitki. Jednak nie mogłam poczekać do rana w suchym i ciepłym pomieszczeniu, bo pracownik parku nie wyraził na to zgody. Wypiłam więc trzy szybkie filiżanki espresso, w łazience wykręciłam ubranie i ruszyłam w drogę powrotną – nocą, we mgle i deszczu, z kamieniami w rękach na dzikie zwierzęta. A po dodatkowych 22 kilometrach marszu, mokra jak szczur, wzięłam

ciepły prysznic na kempingu i tuż przed świtem wczołgałam się do mojego namiotu. A te wszystkie atrakcje zawdzięczam węgierskim liniom lotniczym, które odwołały mój pierwszy lot z Wrocławia do Porto, powodując obsuwę mojego planu o dwa dni, z koniecznością zdobycia Pico w fatalnych warunkach. Ponadto dwie noce spędziłam na lotnisku w Lizbonie - w stylu Toma Hanksa z filmu „Terminal” - i do dzisiaj nie otrzymałam zwrotu kosztów związanych z nieplanowanym lotem na Azory przez Londyn i przebukowaniem kolejnych biletów.



Wioska w kalderze na Capo Verde, w tle Pico do Fogo (2829 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

W Afryce było już bardzo gorąco! Na Wyspach Zielonego Przylądka wspinałam się „na żywca” w wulkanicznych skałach, w niebezpiecznym, osypującym się terenie. Szukając chwytów w skalnej ścianie, wyrwałam z niej spory, ruchomy głaz, który spadł mi na nogę. Krzyknęłam, wytrzymałam ból, zaciskając zęby i natychmiast wróciłam do trzech punktów podparcia. Dzięki temu uniknęłam odpadnięcia od ściany z wysokości około ośmiu metrów. W górach powyżej 2800 m n.p.m. nie było nikogo, więc mogłam liczyć tylko na siebie. Weszłam na szczyt, zrobiłam zdjęcia i zeszłam do podstawy ściany z obolałą nogą. Po powrocie z **Pico do Fogo (2829 m)** okazało się, że poszłam za daleko, bo główny szczyt był o 1,5 godziny drogi wcześniej. Właśnie tam, gdzie przedtem odpoczywałam. Dowiedziałam się jeszcze, że miejscowi przewodnicy górscy nie wspinają się w tamtym karkołomnym miejscu.

Następnego dnia poszłam na spacer wśród afrykańskich domków, rozsianych między dawno zastygłą lawą. Okrążyłam cały wulkan Pico do Fogo - łącznie 18 kilometrów - uważnie przyglądając się z dołu najwyższemu turniom. Po czym stwierdziłam, że zdobyłam dwa szczyty, w tym jeden bezimienny. Nie wiem, dlaczego tamta skała mnie wtedy zawołała. Być może chciała mi zostawić cenną pamiątkę? Do dzisiaj mam spore wgłębienie w udzie od uderzenia kamieniem.

Moim najważniejszym osiągnięciem w 2018 roku było zdobycie

pięćdziesiątej góry w projekcie „200 Szczytów Świata”. Był to **Vorder Grauspitz (2599 m)**, najwyższy szczyt Lichtensteinu, na który wspięłam się sama, ale dopiero za trzecim razem. W latach 2013 i 2015 pojechałam autostopem do Lichtensteinu, przeszłam sama część grani, zdobywając niższy wierzchołek, Hinter Grauspitz (2574 m) . Jednak musiałam się wycofać, będąc zaledwie 20 minut drogi od głównego szczytu. Samotna wspinaczka bez asekuracji była zbyt ryzykowna - w skalnej grani, wyglądającej jak ostra brzytwa, przy porywistym wietrze, nadciągających czarnych chmurach i braku żywej duszy w górach. Przemoczona i zmarznięta wracałam pokonana przez granitową skałę, ale szczęśliwa, bo żywa.

W 2018 roku postanowiłam zawalczyć po raz trzeci, lecz tym razem od strony Szwajcarii. Przeszłam przez kilka górskich grzbietów i tuneli. A potem szłam po stromym, mocno osypującym się piargu i częścią grani, która nie była już taka trudna. Na szczycie odetchnęłam z ulgą, uniosłam ręce w geście zwycięstwa i wydałam okrzyk radości! Nikt mnie przecież nie słyszał, oprócz wiatru szepczącego mi do ucha: „A jednak, zrobiłaś to! Sama!”. Przez moment zakręciła mi się łezka w oku, pewnie z powodu tego wiatru. Wpisałam do książki wejść informację o 50-tym wierzchołku i zrobiłam kilka zdjęć. Jednak zdobycie góry, to dopiero połowa drogi, więc zaczęłam odwrót, gdy nad głową pojawiły się ciemne chmury.



Skrzynka z książką wejść na szczycie Grauspitz (2599 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Moja góraska koleżanka

Po zejściu ze szczytu spałam w opuszczonej w tym czasie dolinie, na wysokości około 2000 metrów. Znów byłam sama, niczym pani na włościach. A pogoda była typowo góraska. Wiał silny wiatr, temperatura spadła blisko zera, nadciągnęła burza z piorunami i rześista ulewa. A ja miałam cienki śpiwór, bo przecież wracałam z Afryki. Nie rozbiłam więc namiotu, bo było zbyt zimno. Nie przenocowałam też w murowanym schronie dla turystów, bo akurat był zamknięty. Po raz pierwszy zabiwakowałam w drewnutni, w której znalazłam miejsce w sam raz na karimatę. W nocy obudził mnie jakiś hałas. Poświeciłam

czołówką między szczapy drewna, ułożone pod ścianą, tuż nad moim legowiskiem. Zobaczyłam świecące oczka i małe pysio, ale nie był to szczur, ani mysz, więc pewnie jakaś nornica. Otuliłam się szczelnie śpiworem, w nadziei, że to zwierzątko nie będzie po mnie biegać. Przecież to ja byłam tutaj nieproszonym gościem. W końcu zasnęłam.

Nagle zbudził mnie jakiś dziwny, cichy szelest. W świetle czołówki zobaczyłam mały woreczek śniadaniowy, zwinięty w kulkę, który kołysał się w górę i w dół, w dziurze w ścianie, tuż przy drzwiach. Zaśmiałam się i powiedziałam łagodnym głosem: „Po co ci ten woreczek? Chcesz sobie uszczelnić mieszkanie na zimę?”. Wtedy umilkł szelest. Pomyślałam, że niepotrzebnie zawiązałam w supełek torebkę ze smakowitymi okruszkami, bo „Myszka” nie mogła jej wciągnąć do swojej norki. W tym momencie przyszło mi do głowy, że właśnie stałyśmy się koleżankami. Przecież miałyśmy wspólną rzecz, którą ona sobie ode mnie pożyczyła. „Człowiek nigdy nie jest sam, nawet wtedy, kiedy jest o tym przekonany” – stwierdziłam ze zdziwieniem. Rano zbudziłam się z tą myślą i postanowieniem, że wracam z gór i rzucam dotychczasową pracę, że zacznę wszystko prawie od początku, że zajmę się zawodowo projektem „200 Szczytów Świata”, bo przecież człowiek nigdy nie jest sam.

Ważne osiągnięcia, czyli „Rób to, co kochasz”

Wracając z wakacji podjęłam decyzję o zmianie pracy i stylu życia, i od razu wzięłam się ostro do dzieła. Zamknęłam stare sprawy, przestawiłam meble i zajęłam się pracą twórczą. Dokładnie 12 października wpadłam na genialny pomysł, który nazwałam „home office 4×3”. Od tej pory dzień roboczy dzielę na trzy bloki czterogodzinne. W pierwszej części zajmuję się pracą twórczą, w drugiej biegnę na półtoragodzinny trening do parku i załatwiam bieżące sprawy, a w trzeciej części zajmuję się przygotowaniem kolejnego etapu projektu, czyli Piki Ameryki. Hiszpańskiego uczę się co drugi dzień, słuchając płyty podczas porządków, a w weekend szlifuję język, stosując własny pomysł na „fiszki mobilne”. W sobotę mam zazwyczaj długie wybieganie lub łączę trening siłowy z biegowym, albo jadę na długą wycieczkę rowerową. I to zajmuje mi kilka godzin, czasem w deszczu, lecz rzadko w śniegu, bo zima znów jest byle jaka. W niedzielę jest czas na treningowy „rest”, czyli odpoczynek, chyba że muszę nadrobić jakieś zaległości z tygodnia. Wszystkie moje działania, poza sprawami rodzinnymi i domowymi, koncentruję na realizacji projektu.

Zgodnie z zasadą Steva Jobsa, wreszcie robię to, co kocham. I czekam już na ten szczęśliwy dzień, kiedy wynurzę się z mojej „gawry” i zacznę zarabiać konkretne pieniądze na realizację projektu. Bowiem on już dawno przestał być pasją. To jest moja misja i nowa profesja. To jest mój imperatyw!

Mam nadzieję, że zainspiruję kogoś, podając w skrócie to, co zrobiłam w ciągu ostatnich trzech miesięcy, a co uważam za najważniejsze osiągnięcia zawodowe w 2018 roku:

Praca w myśl zasady „Rób to, co kochasz”.

„Home office 4×3”.

Folder promujący projekt „200 Szczytów Świata” - 25 stron tekstu, kolorowych ilustracji i tabel w formacie A5, w języku polskim.

Folder w wersji angielskiej - w trakcie przygotowania.

Etap 3. projektu. Piki Ameryki - opracowanie tras dojazdu i dróg wejścia na 32 szczyty w obu Amerykach - co wymagało ogromnej pracy przez wiele tygodni!

Samodzielna nauka języka hiszpańskiego - poziom podstawowy.

Trening na powietrzu: 5x w tygodniu po 1,5 godziny - bieg, siłownia, rower.

Trening na powietrzu: 1x weekendowo, od 3 do 7 godzin - długi bieg lub siłownia podwójnie, lub 40-60 kilometrów

rowerem.

Zastosowanie w praktyce „7 zasad sukcesu Steva Jobsa”.

Zmiana diety na białkowo-węglowodanową.

Naturalna utrata 5,4 kilograma wagi w ciągu dwóch miesięcy - dzięki tej diecie.

Notowanie czasu operacyjnego pracy i treningu - z odliczaniem nawet kilkuminutowych przerw.

Podsumowaniem tego był test na mój wiek biologiczny (35 lat), który trochę różni się od wieku metrykalnego.

Okrągłe rocznice - 5,10,18

W 2018 roku zbiegły się w czasie trzy okrągłe rocznice: 5, 10 i 18 lat w górach. Od pięciu lat realizuję autorski projekt „200 Szczytów Świata”, którego jestem pomysłodawcą i liderem. W tym czasie zdobyłam kolejne 31 wierzchołków do wcześniejszej kolekcji, co w sumie dało 50 zdobytych szczytów. Natomiast już od 10 lat organizuję samotne wyprawy i podróże w góry Europy, Azji i Afryki. W tym czasie pokonałam autostopem w pojedynkę ponad 64 000 kilometrów, a najdalej dotarłam do Chin... przez

siedem muzułmańskich krajów. „Na stopa” odwiedziłam wszystkie państwa europejskie i zdobyłam ich najwyższe szczyty, oprócz wzgórza w Białorusi. Samotnie i w mini rakach weszłam na **Mont Blanc (4810 m)**. Sama lub z ludźmi poznanymi na trasie zdobyłam następujące szczyty w Azji: **Ararat (5137 m)** i **Erciyes Dagi (3916 m)** w Turcji, **Demavend (5610 m)** w Iranie, **Mount Urtabuz (5047 m)** w Tadżykistanie i **Pik Rozdzielenia (6148 m)** w Kirgistanie. Na tej ostatniej górze przeżyłam burzę śnieżną, huraganowy wiatr wiejący ponad 100 kilometrów na godzinę, przy odczuwalnej temperaturze od -45 do -50 stopni Celsjusza. Skakałam samotnie i bez asekuracji przez szczeliny lodowcowe na wysokości 5000-6000 metrów n.p.m., tylko w rakach i z jednym czekanem. A kiedy skończyły mi się góry lądowe w Europie, to poleciałam tanimi liniami na okoliczne wyspy.

W ciągu tych dziesięciu lat wypracowałam własny, minimalistyczny styl podróżowania. Autostop jest dla mnie najtańszym środkiem transportu. Codziennie dźwigam „mój dom na plecach”. Czasami tam jeszcze upcham czekan, raki, pętle, karabinki osobiste i śrubę lodową, bo na inny sprzęt wspinaczkowy nie ma już miejsca. Mogę więc powiedzieć, że po tylu latach stworzyłam nowy model zdobywania gór, jako alpinistka podróżująca autostopem w góry świata.

Na moje dotychczasowe osiągnięcia składa się 18 lat wspinaczki

skalnej, lodowej, lodowcowej, miksowej oraz alpinizmu i wspinania w górach wysokich. Najpierw przeszłam kurs wspinaczkowy we Wrocławskim Klubie Wysokogórskim, a potem wspiniałam się kolejno w Górach Sokolich, Tatrach, Alpach, Kaukazie, Andach, w lodospadach Słowackiego Raju i austriackiego Maltatalu, w Pamirze, Karakorum, w wielu europejskich górach, a ostatnio też w Afryce.

Początkowo wspiniałam się rodzinie - z mężem, siostrą i szwagrem, potem zespołowo lub z ludźmi przypadkowo spotkanymi w górach, a w końcu samotnie, czasami „na żywca” - w nieznanym terenie i bez asekuracji. O wyborze solowego sposobu zdobywania gór zdecydował los. Niestety, mój mąż zginął w czasie wspinaczki, gdy nasza córka miała dwa lata. Dopiero po dziewięciu latach wyszłam z traumy i wróciłam do wspinania zespołowego. A w 2008 roku zorganizowałam pierwszą samotną wyprawę na Ararat. I to był początek nowych ekspedycji, w których połączyłam trzy pasje: zdobywanie gór, odkrywanie świata i poznawanie ludzi.

Tabela ważniejszych gór zdobytych przez Annę Borecką

w projekcie „200 Szczytów Świata”

Lp.	Rok	Państwo	Szczyt / Punkt	Wysokość m n.p.m.	Wejście na szczyt
50	2018	Lichtenstein	Grauspitz	2 599	samotnie
49	2018	Cabo Verde	Pico do Fogo	2 829	samotnie
48	2018	Portugalia, Azory	Pico	2 351	samotnie
47	2018	Irlandia	Carrantuohill	1 138	samotnie
46	2017	Maroko	Jebel Toubkal	4 167	mikst*
45	2017	Islandia	Hvannadalshnúkur	2 110	samotnie
34	2015	Hiszpania, Wyspy Kanaryjskie	Pico del Teide	3 718	2x: w grupie*, samotnie
31	2015	Grecja	Mytikas	2 917	samotnie
30	2015	Kosowo	Djeravica	2 656	samotnie
24	2015	Szwajcaria	Dufourspitze	4 634	w duecie*
19	2013	Francja i Włochy	Mont Blanc, Mont Blanc de Courmayer	4 810 4 748	samotnie i w mini-rakach
13	2009	Iran	Demawend	5 610	w grupie*
12	2008	Turcja	Ararat	5 137	w duecie*
8	2003	Argentyna	Aconcagua	6 961	w grupie
7	2002	Rosja	Elbrus	5 643	w grupie
2	1992	Słowacja	Gerlach	2 655	w grupie
1	1988	Polska	Rysy	2 499	w grupie, 3x

Lp. - liczba przypisana do wybranych szczytów, według kolejności ich zdobycia; **mikst*** - tu: część drogi przebytej samotnie, a część w grupie napotkanych osób; **w grupie*** lub **w duecie*** - wejście na szczyt z osobami poznanymi już na trasie.

Ludzie tacy sami jak my

Kiedy poczuję zew, to chcąc nie chcąc, zaczynam gromadzić informacje i przygotowywać kolejny wyjazd. Pomimo tego, że sama organizuję górskie wyprawy, to potrzebuję porady, pomocy i psychicznego wsparcia bliskich osób.

I w tym od lat wspierają mnie moje wspaniałe dzieci, Kalinka i

Kuba Kościelniak, czyli córka i zięć. To oni rezerwują mi tanie loty, robią korektę moich tekstów i grafiki, czynnie uczestniczą w pokazach slajdów, dbając o sprawy organizacyjne i dokumentację fotograficzną. Oboje uczą mnie nowinek wirtualnych i elektronicznych. I dodają mi odwagi w SMS-ach, gdy w górach lub gdzieś w świecie jest naprawdę ciężko. I za to wszystko jestem im bardzo wdzięczna. Nawet wtedy, gdy słyszę krótki komentarz z uśmiechem na temat mojego kolejnego pomysłu: „No, matka - wariatka!”

Od kilku lat mogę też liczyć na pomoc „Księgarni Podróżnika” z Wrocławia, a to za sprawą wspaniałej właścicielki księgarni, Doroty Puchały i świetnej Załogi, za co im bardzo dziękuję. Księgarnia zaopatruje mnie w mapy potrzebne na kolejną wyprawę i organizuje moje wystąpienia publiczne na Międzynarodowych Targach Turystycznych we Wrocławiu. A ja wnoszę flagę z pięknym logo „Księgarni Podróżnika” na zdobyte szczyty i polecam znajomym praktyczne mapy i przewodniki. W swoich tekstach i prezentacjach piszę, mówię i zamieszczam zdjęcia z małym ludzikiem idącym przez świat, który jest symbolem księgarni oraz wszystkich Ludzi Wędrownych.

Wśród osób zaprzyjaźnionych, wspomagających od lat moje górskie i artystyczne projekty, jest także Ryszard Sawicki (autor „Culture Avenue” przyp. red.), wrocławski artysta - malarz, poeta, pisarz, tłumacz języka angielskiego i podróżnik. Ryszard

wiele razy wspierał moje plany dobrą radą, kontaktami z ciekawymi ludźmi, wspólną korektą i tłumaczeniem tekstów. Pomógł mi w organizacji wiz do Iranu i Chin – które okazały się kluczowe w podróży autostopem przez pół Azji.

Wiele osób w Polsce i innych krajach, w różny sposób przyczyniło się do rozwoju projektu. Były to zazwyczaj jednorazowe akcje, ale wszystkie mile wspominać i zawsze pamiętam o tych osobach. Byli to bliscy znajomi z Wrocławia i okolic oraz nowi znajomi z Europy i Azji: kierowcy na autostopie, tubylcy w podgórskich wioskach i większych miastach, turyści i alpiniści poznani w górach, partnerzy wspinaczkowi; a także dyrektorzy i pracownicy uczelni, szkół, bibliotek, centrum kultury, klubów, festiwali i różnych zlotów, którzy zapraszali mnie na autorskie prezentacje (łącznie już 37). Byli też właściciele kilku firm, w różny sposób wspomagający projekt oraz pracownicy różnych mediów, (telewizja, prasa, radio, Internet), którzy publikowali informacje na temat projektu lub moich górskich osiągnięć. Dziękuję wszystkim bardzo serdecznie.

Polska

[Ewa Skut](#), [Grzegorz Basista](#), [Mateusz Bury](#), [Emil Botkiewicz](#), [Adam Nowicki](#), [Krzysztof Dania](#), [Krystyna i Dariusz Bodkowie](#), [Łukasz Lubelski](#), [Anna Hardy](#), [Monika Rajter](#), [Agnieszka i Lech Jaroszowie](#), [Maria i Leszek Sawiccy](#), [Joanna Piotrowicz](#), [Anna](#)

Szczęсна, Lucjan Chreściak, Dariusz Pega, o. Janusz Potok z misji w Kazachstanie, pracownicy polskiej ambasady w Iranie, Mirosława Walaszkowska, Sylwia Krupiczowicz, Krystyna i Robert Drelichowie oraz rodzice, Wanda i Czesław Boreccy – którzy w końcu zaakceptowali mój styl życia.

Świat

Lidia z mężem z Mołdawii, Marcia Araujo z Portugalii, Päivi i Hakan ze Szwecji, Marius i Roma z Litwy, Rudite Goba i Inta Pētersone z mężem – z Łotwy, Andrea z kolegami – z Włoch, Puiu Nichiforiuc z Rumunii, Miroslav Radošovský ze Słowacji – z kolegami z Norwegii, Linda i Jocke Nygård z Finlandii, Jonas Hansell ze Szwecji, Denis Spahija, Jakup Isufi oraz rodzina Kaltriny z Kosowa, Michel Evers z Holandii, Zvezdana Paunovic z Serbii, Mariko z Japonii, a także Miss Fan z Chin, Sergiej Koliszew z Rosji, Muhammad z Uzbekistanu, Lionel Cervera z Hiszpanii, Maenseurreh, Mokhtar i Abbas z Iranu, Özgür Esen z Turcji, Dżingis z Afganistanu, Ivan Elentchev z rodziną i Katia z Bułgarii; oraz osoby poznane na autostopie: z Europy, Azji, Cabo Verde, Argentyny, Australii, Kanady, Kongo, Nikaragui, Nowej Zelandii i USA.

Podziękowania dla kilku instytucji

„Księgarnia Podróżnika”, “Studio PLAN Grzegorz Zwoliński”,

„Międzynarodowe Targi Turystyki - Wrocław, „Gazeta Wyborcza”, „Alhena” Zakład Mechaniczny, „OPAL TRAVEL Biuro Podróży”, „SERVAS POLAND”, „Góry i Alpinizm - Szkoła Wspinania Aśki Piotrowicz”, Sklep turystyczny „Skalnik” i DKF „Politechnika”.

W 2018 roku, do grona Przyjaciół Projektu dołączyły nowe osoby, z którymi nawiązałam serdeczne relacje. Są to: Zbigniew Lubicz - Miszewski, Rafał Just, Iwona Góra, Elżbieta Ciężewska, Cecylia Śmieszewska, Sebastian Węgrzynowski, Izabela Kula, Mariola Sufa, Joanna Biały, Krzysztof Krysta, Grzegorz i Piotr Zwoliński, John Marjot, Mickey Opacic i Michael Kenneth Herbert z Wielkiej Brytanii, Sue z USA, Aine O Malley z mamą oraz Barra Ó Briain z Irlandii.



Rowerzyści poznani na autostopie w Irlandii, od lewej Michael Kenneth Herbert – Australijczyk, Sue – Amerykanka, Mickey Opacic – Chorwat, fot. Anna Borecka.

W każdym kraju spotykam ludzi o otwartych sercach, niebojących się obcego przybysza. To dzięki nim zrodziła się **idea ludzi takich samych jak my**, która stała się już misją projektu, z którą przemierzam obce kraje, i o której opowiadam w książkach, na prezentacjach i prywatnych spotkaniach:

Ludzie na całym świecie są tacy sami jak my.

Mają podobne problemy i marzenia.

Różnią się tylko miejscem urodzenia.

Wszędzie ludzie są tacy jak my, bo mają dwie ręce, dwie nogi i

dwie półkule mózgowe, a więc kierują się logiką i intuicją. Szybko więc wyczuwają, czy ktoś jest im przyjazny i życzliwy, czy nie, i odpowiednio reagują. W każdym z nas jest naturalny pierwiastek piękna i dobra, z którym przychodzimy na świat, a o czym często zapominamy w dorosłym życiu. I wtedy boimy się świata, obcych ludzi, a czasem i siebie. Tak więc podróże w nieznane pomagają przełamywać różne bariery w nas samych.

Etap 3. Piki Ameryki

Miniony rok obfitował w ciekawe wydarzenia i znajomości, kilka osiągnięć i znaczących dat, podsumowujących mój górski dorobek. Jednak nie było miejsca na świętowanie, bo był to czas ciężkiej pracy. Miały też miejsce smutne sprawy rodzinne i tragiczne wydarzenie. Niestety! Codziennosc dostarcza wielu bolesnych doświadczeń. Czasami powoduje to, że możemy docenić to co mamy, a przede wszystkim kto jest dla nas ważny. Osobiście uważam, że najważniejsze jest zdrowie i szczęście bliskich osób, bo z własnymi sprawami to jakoś sobie radzę.

W ostatnim czasie zrobiłam sporo dla rozwoju projektu, ale to dopiero początek góry lodowej oraz szczytów schowanych w tropikalnej dżungli. Tak właśnie wygląda trzeci etap projektu, pt. „**32 Piki Ameryki**”, w którego skład wchodzi najwyższe góry od Meksyku po Panamę, przez Karaiby i Kolumbię, przez

andyjskie 6-tysięczniki aż do niewielkiego wzgórza w Urugwaju. Dlatego moim kolejnym celem jest promocja projektu i pozyskanie środków przez własne publikacje, poznanie pasjonatów i pomocnych ludzi na świecie, którym bliskie są sprawy górskie, podróżnicze, publicystyczne i artystyczne. Którzy mogą udzielić dobrej rady, pomogą zorganizować spotkanie z publicznością, wydanie serii artykułów lub książki w języku angielskim. A ja będę o nich pisać w książkach i opowiadać w czasie prelekcji. Mogę też wnieść flagę z logo firmowym na kolejny górski szczyt. Sposobów na współpracę jest wiele, jeśli znajdziemy wspólne tematy i odkryjemy w sobie bratnie dusze.

Marzenia najpiękniej rozkwitają na wiosną, lecz pielęgnować trzeba je przez cały rok, żeby zawsze pięły się do góry.



Po prezentacji w Trzebnicy, od lewej Irena Prostak, Zbigniew Lubicz-Miszewski, Anna Borecka, Cecylia Śmieszowska, fot. Sebastian Węgrzynowski.

Ważne wydarzenia publicystyczne

W 2018 roku miałam kilkanaście wystąpień publicznych, w tym osiem autorskich prezentacji. W lutym, dla czytelników Biblioteki Miejskiej w Cieszynie, poprowadziłam nową prelekcję z pokazem zdjęć. Byłam oczarowana wyjątkową atmosferą i ciepłym przyjęciem publiczności oraz profesjonalną organizacją wydarzenia przez dyrekcję i pracowników placówki. Po prezentacji zatytułowanej **„200 Szczytów Świata - jak realizować wielki projekt małym kosztem”**, podpisywałam dwa tomy „Alpinistki na autostopie”. Wielką niespodziankę sprawił mi pan, który na zdjęciu w mojej książce rozpoznał osobę

z Bułgarii. Okazało się, że Katia rozmawiała z nim o moim pobycie w górach Riła, w 2008 roku, kiedy ten pan jeszcze mnie nie znał. Następnego dnia rano miałam prezentację w tej samej bibliotece, tym razem dla młodzieży z kilku szkół. A wieczorem odwiedziłam Miejską Bibliotekę Publiczną im. Jana Wantuły w Ustroniu. Tam również byłam ciepło przyjęta i poczułam rodzinną atmosferę w czasie spotkania z publicznością.

W lutym, na Międzynarodowych Targach Turystycznych we Wrocławiu, miałam kolejną prezentację o projekcie „200 Szczytów Świata” - dla około dwustu osób. Zaproszenie na targi otrzymałam od „Księgarni Podróżnika” i „Studia PLAN” z Wrocławia. Na ich stoisku podpisywałam też książki: **„Alpinistka na autostopie. Tom 1. Przez Karpaty na Ararat” (2015)**, **„Alpinistka na autostopie. Tom 2. Z Polski do Chin” (2016)** i **„Alpinizm - życie na haju” (2006)**, książka wydana nakładem autora.

Była to również okazja do spotkania wielu znajomych i poznania nowych, ciekawych osób. Następnego dnia targów, już w kameralnym gronie, poprowadziłam warsztaty pt. **„Jebel Toubkal (4167 m n.p.m.) - jak z bagażem podręcznym zdobyć czterotysięcznik w Afryce”**.



Publiczność w czasie prezentacji Anny Boreckiej na MTT Wrocław, fot. Piotr Zwoliński.

W marcu odwiedziłam Autorskie Licea Artystyczne i Akademickie we Wrocławiu, gdzie po prelekcji młodzież zadawała mi sporo ciekawych pytań. W kwietniu miałam prezentację w Szkole Podstawowej nr 84 we Wrocławiu, w ramach cyklu spotkań „**Podróże na kraniec świata**”. Przez Panią Pedagog zostałam powitana żytnim chlebem na zakwasie z jej własnego wypieku. Prezentacja została zakończona konkursem wśród młodzieży, którego nagrodą była moja książka.

W maju poprowadziłam prelekcję „200 Szczytów Świata”, w Powiatowym Ośrodku Doradztwa Metodyczno-Programowego w Trzebnicy, podczas XV Ogólnopolskiego Tygodnia

Bibliotek. Następnie, w ramach relaksu, razem z Dyrektorką Ośrodka, weszłam na Winną Górę (219 m n.p.m.), znajdującą się w mieście.

Wszystkie moje prezentacje, dla dorosłych, młodzieży i dzieci, przebiegały w miłej atmosferze i cieszyły się dużym zainteresowaniem. Żeby szczegółowo o tym opowiedzieć, musiałabym napisać kolejny artykuł.

W międzyczasie udzieliłam wywiadu dla Gazety Wyborczej, pt. **„Autostopem na 200 szczytów świata”**. Tekst ukazał się w papierowej wersji Magazynu Wrocław - Rok Kobiet. Został też opublikowany online - z większą liczbą fotografii mojego autorstwa - na wyborcza.pl, tym razem pod tytułem **„Wrocławianka samotnie zdobywa 200 szczytów świata. Dociera do nich autostopem”**. Jest to głównie wywiad o tematyce podróżniczej, z pominięciem aspektu górskiego i wspinaczkowego. W związku z dalszą realizacją projektu „200 Szczytów Świata”, podjęłam decyzję o publikacji kolejnych artykułów o moich osiągnięciach. Cieszy mnie, że inspiruję górskich pasjonatów do wyjścia poza granice Europy i sięganie po kolejne szczyty na całym świecie.



Strażnik szlaku na Carrantuohill, Irlandia 2018, fot. Anna Borecka.

*Anna Borecka – oficjalnie lider projektu „200 Szczytów Świata”,
a prywatnie rogata dusza.*

Linki:

<https://ksiegarnia.bernardinum.com.pl/pl/p/Alpinistka-na-autostopie-Tom-I.-Przez-Karpaty-na-Ararat-Alpinistka-na-autostopie-Tom-2-Z-Polski-do-Chin/937>

<http://www.mttwroclaw.pl/2018/02/04/779/>

<http://wroclaw.wyborcza.pl/wroclaw/7,142076,23326930,autostopem-na-200-szczytow-swiata.html>.